

POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XIX

Warszawa, dnia 19 Listopada 1927 roku

Nr. 47

ANDRZEJ STRUG

10) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Był wzruszony do łez, był szczęśliwy po tych pierwszych siedmiu kieliszkach, po lotnym momencie oszołomienia, które było znajomym wstępem do przyszłości mającej ekstazy, rozkosznej pełni ducha. Po raz pierwszy w tej nowej służbie zasiadał przy walnej uczcie, jako ojciec pułku w gronie swoich oficerów i drogich gości. W tym uroczystym, jedynym na całe życie dniu, gdy dostąpił i on, zasłużony a niegodny, najwyższej rycerskiej nagrody... A tam, patrz, wyjdzie i czwarta klasa — złoty krzyż za zwycięskie dowodzenie pułkiem!

I Puzo w uniesieniu szczęścia zapomniał, niewdzięczny, o starych dobrych czasach, o prawdziwym, jak się patrzy, wojsku, o wiernych towarzyszach broni i butelki, o sławnych bojach dzikiej dywizji i o Georgju, który otrzymał był pod Czerniowcami, o wspaniałych świętach pułkowych, gdzie szampan lał się rzeką... Rozczulił się i w pewnej chwili olśniło go jakby objawienie. W dzikim zamęcie nieporozumienia dziejowego, w którym od dwóch lat nie mógł się opamiętać, w niezdarnie zaimprovizowanej komedji tego polskiego bałaganu, ujrzał niespodziewanie moc i wielkość. W puste serce, wypaproszone z carskiej Rosji, która zginęła na wieki, lunęła jakby nowa krew i Puzo zgłębił Polskę i pokochał ją odrazu, stał się polakiem nie gorszym od innych.

W napadzie natchnienia porwał kieliszek i podsunął go pod sam nos sąsiadowi.

— Panie pułkowniku, niech żyje Polska!

— Prosit... Niech żyje ona — odrzekł stropiony podpułkownik uprzejmie, ale dość zimno.

Jako człowiek subtelny, wychowany w najbardziej kulturalnym korpusie oficerskim Europy, nie znosił on tych liryzmów i wywnętrzeń polskich przy kieliszku — Es fängt schon an... — myślał z najwyższym niesmakiem — Polen, Polen und Polen... I komu to jeszcze... Taki moskiewski niedźwiedź... raczej wieprz....

Puzo obraził się tym tonem, jakgdyby odgadł tajemną myśl sąsiada, nastrzępił krzaczaste rude brwi.

— Nu ciebia k czortu.... Ni za czto nie byt' poliakom awstrijskomu pudeliu...

Adjutant zdaleka od końca stołu dawał mu natarczywe znaki — aha... Doskonale, napór patriotycznych uczuć domagał się upustu. Mowę ochotnika Łomiszewskiego w trzeciej i ostatecznie zatwierdzonej redakcji wykuł pracowicie. Każde jej słowo wrosło weń, jak własne, zrodzone z rozpamiętywań

całego życia. Rozpierało go natchnienie. Dźwignął swą atletyczną postać i ogarnął stół orlem spojrzeniem. Stół ucichł, zamarł, czterdzieści par oczu wpiło się w mowcę. Drzwi wypełniły się szczerze tłumem oficerów, napierających z drugiej izby. Adjutant syczał na nich i machał rękami.

Wszyscy ucichli i czekali w najwyższym skupieniu. Czego się spodziewali po tej mowie, o której ten i ów wiedział zresztą, że napisał ją na obstalunek jakiś ochotnik - inteligent, a Puzo wykuł ją na pamięć i tyle?...

Co tam mowa! Sam moment był jedyny i wzruszający, albowiem ma się w nim uświadomić, opamiętać i niejako przejść do historii wszystko, co przeżyli przez te dwa lata trudów i walk. Szło to, mknęło z dnia na dzień w gorączkowym pośpiechu, bez opamiętania, toczyło się jakby samo przez się, własnym ciężarem po jakiejś pochylni o niewymierzonym i niezbadanym końcu. Potok wydarzeń spleł się w nierozwikłany bałagan niósł kędyś cały naród a wraz z narodem i ich — najtęższych wyrazieli epoki — ludzi wojny. I naraz bez żadnej zapowiedzi w całym rozpędzie — halt!

Pewnego dnia, gdy szeroko rozpuszczone szwadrony parły naprzód wedle wczorajszej dyspozycji — przychodzi rozkaz — zwyczajny papierek, jak tysiąc innych wyklepany na maszynie. Tak dziko i głupio urwała się cała ta olbrzymia epopeja.

Więc teraz wreszcie godzi się załatwić to w jakiś przyzwoitszy sposób z pewną uroczystością. Czego się tam nie przeżyło przez te ciężkie lata — wszystko bywało, jednego gadania nigdy nie było. Niechże się teraz pułk wygada za wszystkie czasy...

Niepomierne nagromadzenie odświętnych, wielkich słów i uroczyste, wytoczone frazesy kaprala Łomiszewskiego, spotęgowane grzmiącym basem pułkownika, sprawiały efekt czarowny. Tłum oficerski zamarł zasłuchany. To nie Puzo, jowialny grubas z rudemi szczeciniastymi wąsami, recytował wyuczoną mowę. To jakby głos samej historii opowiadał ich czyny i wróżył im pamięć i wdzięczność dalekich pokoleń. I wojna — sprawa prosta — ten codzienny chleb żołnierza, stanęła przed nimi naraz w całej swej wielkości i grozie. Cóż oni o sobie wiedzieli?

Pod koniec donośny głos mowcy obniżał się stopniowo, rozciągał się, nabierając jakby rytmu, zamierał i wznosił się, aż przeszedł w najniższy, posępny,

przepity bas prawosławnego djaka, recytującego liturgję żalobną. Drgał wzruszeniem i żalem....

.... — Kolegom naszym najdroższym... polskim żołnierzom... cześć... Poległym... na polu chwały..

I naraz jak żywi stanęli im przed oczami wszyscy tamci... Mogiły rozproszone po drogach wojny od Dniepru po Wkrę... Niema ich i nie będzie.... W głębokiem milczeniu walczyli ze wzruszeniem, ten i ów przeżywał swoje łyzy.

Jeszcze przez chwilę Puzo patrzył na nich zamglonemi oczami, patrzył... Wreszcie oderwał się i siadł ciężko za stołem. Czar przysł.

Siadali wszyscy, w rumocie krzeseł i stołków, w pogwarze przyciszonych zrazu słów, a po minucie w drugiej i trzeciej izbie już zawrzało. Ożył i honorowy stół — niepodobnaż trzymać się bez końca w podniosłym nastroju; z taką sprawą im króćiej, tem mocniej. Trębacze na dworze różnili „tusz“.

* * *

Bolek o tej porze przebywał jeszcze w swoim osłupieniu. Oszołomiony niespodzianem szczęściem, siedział jak błędny. Gwar rozmów odurzał go, a gdy go kto zaczął, odpowiadał bez sensu. Usiłował się ocknąć i zapadał za każdym razem w tę samą niezrozumiałą samotność. Ilekroć ujrzał przed sobą nalany kieliszek, wypijał go chciwie, w nadziei, że mu to pomoże. Gdzietam...

Nieznaczenie, nie śmiąc spojrzeć, w najgłębszem zawstyżeniu skubał się za krzyżyk, zawieszony wysoko nad lewą piersią. Była to najoczywistsza niemożliwość a zarazem niezbita prawda. Za co? Za co, na miłosierdzie boskie! Fatalna pomyłka,—to okropność, jeżeli nawet w kapitule panuje bałagan, tak daleko posunięty. Trzeba to niezwłocznie wyjaśnić, a na razie rzec się zaszczytnej odznaki. Bo jeżeli nie dostał ten i ów, i tamci....

Rozglądał się, patrząc po swoich, po strzelcach konnych, po gościach z Dak'u, po lotnikach. Ani jeden nie miał na sobie Virtuti. Wydało mu się, że każdy unika jego spojrzenia. Zaboląta go ta krzywda do łez. Na prawo i na lewo od siebie miał plecy bezpośrednich sąsiadów, zagadanych, nie zwracających nań żadnej uwagi. Naprzeciwko siedział nieznamy strzelec - porucznik i w skupieniu obrabiał swego zajęcia szwajcarskim scyzorykiem. W fanatycznym zapamiętaniu, jakby odgródzony od całego świata, ładował w siebie kawalce, nie podnosząc oczu z nad talerza. Co parę kęsów sięgał do menażki z kompotem amerykańskim i drewnianą łyżą nabierał sobie wprost do gęby. Wówczas rzucał na sąsiada z przeciwka dorywcze spojrzenia, nie zdradzające cieplejszych uczuć. Czara goryczy dopełniała się, aż wreszcie....

— Panie poruczniku! Za co mną pogardzacie? Czy ja się starałem? Czy ja kogo prosiłem?... I wy dostaniecie swoje Virtuti i wszyscy dostaną...

— O co idzie?

— Więc nie patrzcie na mnie, jak na wroga....

— Jak na wroga?

— Przecież ja was kocham! Ja was wszystkich kocham!

Porucznik był nieprzejednany, uśmiechał się ironicznie. Jakiemiż słowy, jakąż szczerością przebić tę zatwardziałą skorupę na sercu ludzkim?

Strzelec najobojętniej nalewał sobie wódki. Bolek ze zgrozą patrzył na tę zniewagę i w zranionem jego sercu odezwał się porywczy, młodzieńczy gniew. Ale strzelec wyciągnął butelkę poprzez stół i niepewną ręką nalewał i w jego kieliszek starannie, ostroż-

nie, aż przelał. Zaklął i z siłą postawił butelkę, jakby ją chciał wbić w ten stół.

— No!

Bolek wstał posłusznie i ujął za kieliszek. Porucznik zatoczył ramieniem, roniąc krople ze swego szkła i sprzął się z nim poprzez stół. Pili, patrząc sobie zbliska oko w oko.

— Na imię mi Janusz — oznajmił szeptem zbratany wróg.

— A ja — Bolesław. Kochajmy się odtąd przez całe życie!...

Całowali się z zawziętością, poprzez wązki stół, jak starzy przyjaciele, którzy tęsknili do siebie przez długie lata, aż nareszcie odnaleźli się tutaj niespodzianie.

— Bolek!

— Co?

— Tego nie wolno nikomu zazdrościć! Jeżeli przesądzona jest rzecz — to trzeba milczeć i jeszcze się cieszyć. Bo ktokolwiek z nas dostał, niechże ją ma, niech trzyma mocno, z honorem, bo to za całą armję. Bolek, ja ci wieszę z głębi zranionego serca...

— Janusz! Słuchaj!....

— Siadaj bracie i dajmy już temu spokój. Niech umie milczeć serce żołnierza...

— A ja wiem, że i ty dostaniesz!

— Skąd ty głupi wiesz?

— Wszyscy dostaną!

— Jakby wszyscy dostawali, to by o to nikt nie dbał. Bolesławie, powiedziałeś głupstwo!

— Januszu, ja nie powiedziałem głupstwa. Co znaczy: wszyscy? Wszyscy, którzy zasłużyli. Tęgo wymaga sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość jest ślepa, a do tego nasz bałagan... A choćby i bez bałaganu, to ja i tak nic nie dostanę.

— Dlaczego?!

— Nie zasłużyłem. Robiłem, co kazali, ale nic znowu takiego nie dokonałem.

— A ja to niby dokonałem? Akurat tyle, co i wszyscy.

— Ale ty jesteś człowiek, jak się patrzy, a ja przeklęty od losu pechowiec.

— Co znaczy: przeklęty od losu? Niema takich!

— Pechowiec od urodzenia, jak mnie tu widzisz żywego, jak żyję na tym świecie dwadzieścia sześć lat! Rozumiesz, szczeniaku jeden? Dwadzieścia sześć! Słuchaj, opowiem ci, od czego to się ze mną zaczęło... Zgubiła mnie kobieta — pani Kazimiera Suska, żona rejenta. Ale tajemnica! Słowo oficerskie?

— Słowo!

* * *

Gadali wszyscy naraz, jeden przez drugiego, przekrzykując się w ryku śmiechów, w ryku przemówień, szybko poskramianych przez ryki wciąż wznoszących się i wciąż rozłazących się śpiewów. W ścisiku, w dymie, w gwałcie i w opętaniu bruderszaftów, które szerzyły się jak zaraza nieposkromionym wylewem serdeczności, pocałunków, łez i wódki, z godziny na godzinę wzmagająca się homerycka morowość tej biesiady. Przełożono okrakiem przez stoły, pod stołami dokonywano nagłych wypadów ku morzu; ordynansi nagwałt zbierali zbyteczną zastawę i wciąż stawiali nowe butelki. Jeszcze nikogo nie wynieśli, ale już wołano o kwaszone ogórki.

(D, c. n.).

1)

W S P Ó L N I K

— Co za głupie bajanie! Przewoźnicy od lat powtarzają tę bajkę letnikom, którzy każą się wozić łódkami, płacąc po szylingu od głowy i stawiając w czasie przejażdżki dla zabicia czasu idjotyczne pytania. Trudno wymyśleć coś głupszego, niż jeżdżenie łódką wzdłuż wybrzeża. To tak jakby kto bez pragnienia popijał lekką limonjadę. Nie rozumiem, poco to robią; nie nabawią się nawet morskiej choroby.

Zapomniana przez opowiadającego szklanka piwa stała pod ręką. Działo się to w małej przyzwoitej palarni, małego przyzwoitego hoteliku. Zamiłowanie moje do zawierania przygodnych znajomości skłoniło mnie do późnego czuwania w towarzystwie tego człowieka. Wielkie jego policzki, płaskie i pokryte zmarszczkami, były starannie wygolone, a gęsta kępa równo ostrzyżonych siwych włosów zwisała mu z brody; bródka ta, chwiejąc się, podkreślała głuchy ton jego głosu. Wzgardę swą dla ludzkości, dla jej czynów i moralności, wyrażał niedbałym sposobem noszenia czarnego, filcowego kapelusza, o miękkich, szerokich brzegach, którego nigdy nie zdejmował z głowy.

Wyglądał na awanturnika, osiadłego na emeryturze, po wielu nieczystych sprawkach, popełnionych w najbardziej zapadłych kątach kuli ziemskiej. Podejrzewam go jednak, że nigdy nie opuścił Anglii: ktoś w mojej obecności wspomniał kiedyś ubocznie, że miał on dawniej do czynienia ze statkami, ale w dokach. Była to wybitna indywidualność i to właśnie pociągało mnie ku niemu; trudno go było jednak zaliczyć do jakiejś sfery; nim tydzień minął, zrezygnowałem ze ściślejszego określenia i nazwałem go „imponującym starym łotrem”.

Pewnego dżdżystego popołudnia, gnębiony niesłychaną nudą, wszedłem do palarni. Siedział tam w zupełnym bezruchu, imponującym, jak nieruchomość fakira. Zastanawiałem się właśnie, jakich ten człowiek ma znajomych, jakie jest jego otoczenie, krewni, jakie ma poglądy, jaką moralność, przyjaciół, żonę nawet, gdy, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, rozpoczął ze mną rozmowę głębokim, mrukliwym głosem.

Muszę dodać, że odkąd się dowiedział, iż pisuję książki, co rano witał moje ukazanie się nieokreślonym pomrukiem.

Był z natury małomówny. Niedokończone fragmenty zdań, któremi się wyrażał, zdradzały człowieka nieokrzesanego. Minęło sporo czasu, nim zrozumiałem, że chodzi mu o dowiedzenie się, w jaki sposób pisze się nowele do pism.

Co można na takie pytanie odpowiedzieć człowiekowi tego rodzaju? Lecz byłem śmiertelnie znudzony, pogoda wciąż była niemożliwa, zdecydowałem się więc na uprzejmość.

— A więc pan sam układa te historie? Skąd one panu przychodzą do głowy? — mruczał.

Wytłumaczyłem mu, że zazwyczaj temat do noweli znajduję w czyjś opowiadaniu, uwadze.

— W opowiadaniu jakiego rodzaju?

— A więc, na przykład — odparłem — parę dni temu kazałem się zawieźć łodzią do skał. Przewoźnik opowiedział mi o rozbiciu się statku dwadzieścia lat temu na tych składach. To byłby temat do

noweli opisowej, którą możnaby zatytułować: „W Kanale La Manche”.

Wówczas wystąpił przeciw przewoźnikom i ich gościom, słuchającym tych bajek. Ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął, gdy wymówił z mocą: „Kołowacizna!”, wyrzucając to słowo z głębokości piersi i mamrocząc dalej chrapliwym głosem fragmenty zdań:

— Patrz na te głupie skały... Kiwają głupimi głowami (przypuszczalnie turyści). Cóż oni myślą, że człowiek to wydęta torba papierowa, czy co? i że pęknie od lada uderzenia. Przeklęte, głupie gadanie... Dobry temat... niema co?... A czy temat może być kłamstwem?

Trzeba sobie wyobrazić tego starego łotra, wyglądającego jak rzeźba, otoczona aureolą czarnego kapelusza, i odzywającego się tak, jakby od czasu do czasu warknęło stare psisko, z głową wzniesioną do góry, z oczami utkwionymi przed siebie.

— A chociażby nawet nie było to prawdą, — zawołałem, — jest to jednak temat, pozwalający mi wyobrazić sobie te skały, burzę, o której opowiadają, falowanie morza i stosunek tych wszystkich rzeczy do ludzi, a wreszcie wpływ, jaki wywarła walka przeciw siłom natury na los człowieka, że się tak wyrażę, egzaltowanego.

Przerwał mi tonem zaczepnym:

— Czy prawda przyda się panu na co?

— Napewno nie mogę tego powiedzieć, — odparłem ostrożnie, — powiadają, że prawda jest jeszcze dziwniejsza od fantazji.

— Któż to tak mówi? — zawołał.

— Nie mam nikogo specjalnie na myśli.

Odwrociłem się do okna, gdyż widok tego pogardliwego jegomościa z nieruchomą ręką na stole zirytował mnie wielce. Moje bezceremonjalne manjery pobudziły go widocznie do względnie dłuższego przemówienia:

— Czy pan gdzie widział równie głupie skały? Wyglądają jak rodzynki w kawałku zimnego pudingu.

Patrzyłem właśnie na nie. Na przestrzeni mniej więcej jednego akra widniały czarne ich szczyty, rozrzucone po gładkiej, szaro-stalowej powierzchni morza; powlekała je monotonna pajęczyna szarej mgły z jedną jaśniejszą plamą: w tym miejscu przeświecała zamglona biel urwiska, jak tajemniczo rozsiany blask. Był to niezwykły i subtelny widok, wyrazisty, przejmujący i smutny, symfonia czarno-szara, istny obraz Whistler'a. Lecz słowa wyrzeczone przez głos poza mną zmusiły mnie do odwrócenia się: towarzysz mój energicznie i zwięźle wyrażał pogardę dla wszystkiego, co ma związek ze wzburzonym morzem, a potem mówił dalej:

— Mnie takie głupstwa nie przychodzą do głowy — te, tam skały — przypominają mi raczej biuro — kiedyś miałem zwyczaj wstępować czasem do jednego biura w Londynie — na takiej małej uliczce, za stacją na Cannon Street....

Był w swych wyrażeniach bardzo ostrożny, wypowiadał fragmenty zdań, choć nie urywkowo. Czasem kłął.

— Te dwie rzeczy mają między sobą raczej daleki związek, — zauważyłem, zbliżywszy się do niego.

— Związek? Do diabła z pana związkami. To był tylko przypadek.

— Ale jednak, — rzekłem, — każdy wypadek ma związek z rzeczami, które go poprzedzają i które po nim następują, a gdyby je można było rozwinąć..

Siedząc nieruchomie, zdawał się przysłuchiwać uważnie:

— Ach! tak! Rozwinąć! Możeby pan mógł to zrobić. Wprawdzie w tem opowiadaniu niema mowy o życiu na morzu. Lecz może pan to wymyśli.

— Jeśli to będzie koniecznie potrzebne, — rzekłem. — Czasem warto dużo dodać z własnej głowy, a czasem opowiadanie nie jest tego warte, to zależy.

Bawił mnie ten rodzaj rozmowy z nim. Zauważył głośno, że według jego mniemania powieściopisarze gonią tylko za zyskiem, zresztą tak samo jak wszyscy ci, którzy żyją z pracy umysłowej; byłoby rzeczą interesującą stwierdzić, jak daleko niektórzy z nich mogą się posunąć w swej pogoni za zyskiem.

Potem wystąpił przeciw życiu na morzu, nazwał je poprostu bardzo głupiem. Nic tam niema — ani doświadczeń, ani wydarzeń, ani przygód. Uznawał, że zdarzają się między marynarzami wybitni ludzie, lecz tak niestworzeni do życia na ziemi, jak do latania w powietrzu. Poprostu — dzieci. Ot, na przykład kapitan Harry Dunbar. Dobry marynarz. Znany był jako dzielny komendant statku. Wysoki, z krótkimi, siwiejącymi bokobrodami, z piękną twarzą i donośnym głosem. Dobre człowieczysko, lecz naiwny, jak dziecko, wobec przebiegłości ludzkiej.

— Pan mówi w tej chwili o kapitanie „Sagamore'u”? — zapytałem.

Rzuciwszy przyciszonym, pogardliwym głosem „Naturalnie!”, wpatrzył się w ścianę, jakgdyby ukazał mu się na niej obraz biura, położonego „za stacją na Cannon Street”, jednocześnie zaś mrukliwie żuł słowa i fragmenty zdań, tworząc opis tego biura, od czasu do czasu podnosząc jakby z irytacji brodę do góry.

Było to, według jego opisu, skromne biuro handlowe, bynajmniej nie podejrzané, tylko położone nieco na uboczu, na małej uliczce, przebudowanej teraz zupełnie.

— Do tego biura prowadziły siódme drzwi, licząc od kawiarenki zwanej „Cheshire Cat”, położonej pod mostem kolejowym. Jadałem tam zwykle moje śniadania, gdy mnie interesy wzywały do City. Cloete przychodził tam także na piwo i przy sposobności żartował zazwyczaj z kelnerką. Nie tracił na to dużo słów: jak tylko błysnął ku nam swemi szklami, a grube jego wargi drgnęły, już wszyscy wybuchali śmiechem, zanim nawet zaczął opowiadać jedną ze swych anegdotek. Zabawny typ, ten Cloete. C-l-o-e-t-e, Cloete.

— Jakiej on był narodowości? Czy Holender? — zapytałem, nie mogąc się dopatrzyć najmniejszego związku między tem opowiadaniem a letnikami i ich przewoźnikami z Westport, a także z zapatrywaniem się tego starego dziwaka na nich, jako na kłamców i głupców.

— Djabli go wiedzą, — mruknął, nie odrywając wzroku od ściany, jakby się na niej przesuwiał obraz kinematograficzny. — W każdym razie mówił zawsze po angielsku. Pierwszy raz zobaczyłem go w porcie, wysiadającego ze statku, na którym przyjechał

jako pasażer ze Stanów Zjednoczonych. Zapytał mnie, czy nie znam w pobliżu jakiego hoteliku. Potrzebował dla rozejrzenia się za jakimś zajęciem spokojnego pomieszczenia na kilka dni. Zaprowadziłem go do hoteliku, którego właściciela znałem... Innym razem spotkałem go w City. „Hej! panie, pan był bardzo dla mnie uprzejmy — zapraszam na kieliszek”. Opowiedział mi wiele o sobie. Od lat mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Brał się do różnych interesów w wielu miejscowościach całego kraju. Między innymi robił interesy z fabrykantami patentowanych środków leczniczych. Podróżował dużo. Układał ogłoszenia i tym podobne rzeczy. Opowiedział mi mnóstwo zabawnych anegdotek. Był to mężczyzna wysoki i niezgrabny. Czarne włosy podczesane do góry, jak szczotka; długa twarz, długie nogi, długie ręce; błyszczące szkła na oczach; wyrażał się w sposób żartobliwy, głosem przyciszonym. Wyobraża go pan sobie.

Przytaknąłem, lecz nie zwrócił na to uwagi.

— Nigdy w życiu tyle się nie naśmiałem. Łotr ten rozśmieszyłby nawet opowiadaniem, jak obdzierał ze skóry swego rodzzonego ojca. Zresztą był zdolny do tego. Człowiek, który handluje patentowanymi lekarstwami, jest gotów na każde łotrostwo od gry w orła i reszkę aż do morderstwa z premedytacją. Nieco gorzkiej prawdy, jako ostrzeżenie dla pana: ludzie tacy nie przejmują się tem, co robią — myślą, że wszystko zdołają ukryć i z wszystkiego się wyklamią, a głupi świat daje się przez nich nabierać. W dodatku, ten Cloete, to spryciarz w interesach. Przywiózł paręset funtów. Rozglądał się za jakimś spokojnym interesem. „Niema to, jak nasza stara Europa”, mówił mi. Na tem rozstaliśmy się. Wypiłem nieco więcej, niż zwykle. Po pewnym czasie, w pół roku mniej więcej potem, natknąłem się na niego w biurze pana George'a Dunbar'a. Właśnie w tem biurze, o którym była już mowa. Zdarzało się dość rzadko, żebym ja... Ale chciałem się dowiedzieć od pana George'a o ładunku, należącym do niego, a znajdującym się na pewnym statku w doku. Z pokoju w głębi wyszedł Cloete z papierami w ręku. Wspólnik. Rozumie pan?

— Aha. — rzekłem, — te jego paręset funtów!

— A w dodatku obrotny język — mruknął. — Niech pan nie zapomina o tym wymownym języku. Opowiadania jego powinny być jednak otworzyć oczy George'a na to, co on rozumie przez interes.

— Wymowne indywiduum — zauważyłem.

— Hh! Naturalnie, opisz go pan, jak pan będzie chciał. Dobrze. Wspólnik. George Dunbar włożył cylinder i poprosił mnie, abym chwilę zaczekał... George zawsze wyglądał tak, jakby zarabiał tysiące — miejski błagier. „Chodź ze mną stary”. I wyszli razem z kapitanem Harry dla załatwienia jakiejś sprawy u rejenta na rogu. Kapitan Harry, kiedy był w Anglii, przychodził do biura brata regularnie codziennie około dwunastej. Siedział w kącie, jak grzeczny chłopczyk, czytając gazetę i paląc fajkę. Wyszli więc razem. „Przykładni bracia, istne dwa gołąbki”, rzekł do mnie Cloete. „Do mnie należy dział konserw owocowych w naszym domu handlowym”. I tak ze mną dalej rozmawiał. Potem między innymi, zapytał: „Czy wart coś jeszcze ten stary grąt, Sagamore. Najpiękniejszy statek?” „Dla pana wszystkie statki są dobre, bo pan z nich żyje. Ale ja panu coś powiem: wolałbym raczej pieniądze schować w dziurawą pończochę. Dużo bezpieczniej”.

(D. c. n.).